

PIEŚŃ SUSANNAH

STEPHEN
KING



MROCZNA WIEŻA VI

Jak długo przetrwa magia?

Pytanie Rolanda powitała cisza. Musiał zadać je po raz drugi, i tym razem spojrział wprost na Henchicka z Mannich, siedzącego obok Cantaba, męża jednej z jego wielu wnuczek. Trzymali się za ręce, zgodnie ze zwyczajem Mannich. Henchick stracił tego dnia inną bliską osobę, lecz jeśli po niej płakał, żal w żaden sposób nie odbijał się na jego nieruchomej, kamiennej wręcz twarzy.

Obok Rolanda, nikogo nie trzymając za rękę, milczący i przeraźliwie błądy, siedział Eddie Dean, a przy nim, z podwinętymi nogami, Jake Chambers. Na kolanach miał Eja; gdyby Roland nie widział tego na własne oczy, nigdy by nie uwierzył, że bumbler pozwoli na to swemu panu. I Eddie, i Jake ochlapani byli krwią. Jake miał na koszuli krew przyjaciela, Benny'ego Slightmana, a krew na koszuli Eddiego płynęła niegdyś w żyłach Margaret Eisenhart, dawnej Margaret z Redpath, córki patriarchy Mannich. Obaj wyglądali na zmęczonych co najmniej tak, jak czuł się zmęczony Roland, który jednocześnie wiedział, że żaden z nich nie odpocznie tej nocy. Z daleka, od strony miasta, dobiegał ich trzask fajerwerków i odgłosy śpiewów, radości, święta.

Tutaj jednak nikt nie świętował. Margaret i Benny nie żyli, Susannah znikła.

– Henchick, powiedz mi, błagam, jak długo przetrwa magia?

Starzec machinalnie pogłaskał imponującą brodę.

– Rewolwerowcze... Rolandzie... nie potrafię powiedzieć. Magia drzwi w tej jaskini jest dla mnie niepojęta. Doskonale o tym wiecie.

– Powiedz mi, co myślisz. Opierając się na swoim doświadczeniu.

Eddie uniósł dłonie... brudne, drżące, ze śladami krwi pod paznokciami.

– Powiedz, Henchicku – przemówił głosem cichym, głuchym, niepewnym. Roland nigdy nie słyszał go mówiącego w ten sposób.

– Powiedz, błagam.

Rosalita, gospodyni Père Callahana, podeszła do nich, niosąc na tacy dzbanek parującej kawy i filiżanki. Przynajmniej ona znalazła czas na zrzucenie z siebie brudnych, zakrwawionych dżinsów i koszuli i włożenie domowej sukienki, ale w oczach miała obłęd. Sprawiały wrażenie małych, przerażonych zwierzątek, wyglądających na świat z głębi nerek. Nalewała kawę i częstowała nią w milczeniu. Gdy podawała filiżankę Rolandowi, zauważył zaschniętą smugę na grzbiecie jej dłoni. Czy była to krew Margaret? Czy może Benny'ego? Nie wiedział i szczerze mówiąc, niezbyt go to obchodziło. Wilki poniosły klęskę. Być może nigdy już nie przybędą do Calla Bryn Sturgis, a może przybędą... to już sprawa *ka*. Dla nich ważna była Susannah Dean, która po bitwie znikła, zabierając ze sobą Czarną Trzynastkę.

– Pytasz mnie o *kaven*? – przerwał mu te rozmyślania Henchick.

– Tak, ojczu – Roland skinął głową. – Pytam o trwałość magii.

Père Callahan wziął filiżankę kawy. Podziękował za nią skinieniem głowy i roztargnionym uśmiechem, ale nie powiedział ani słowa. Na kolanach trzymał książkę *Miasteczko Salem* autorstwa pisarza, o którym nigdy nie słyszał. Podobno była to powieść, fikcja literacka, lecz on, Donald Callahan, występował w niej jako jeden z głównych bohaterów. I naprawdę mieszkał w tytułowym miasteczku, brał udział w opisanych, najzupełniej rzeczywistych wydarzeniach. Szukał na okładce zdjęcia autora, przekonany, choć nie wiedział dlaczego, że zobaczy swą twarz, a przynajmniej jej wersję z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, kiedy działo się to, co opisano w książce. Nie znalazł jej jednak. Była

tylko notka, wyjaśniająca bardzo niewiele. Pisarz mieszkał w Maine, był żonaty, jego poprzednia, pierwsza, książka została bardzo przychylnie przyjęta przez krytyków, przynajmniej jeśli wierzyć przytoczonym na tylnej okładce cytatom.

– Im większa magia, tym dłużej trwa – odezwał się Cantab i spojrzął na Henchicka pytająco.

– Ano – przytaknął stary. – Magia i *glammer* są jednym, a przychodzą z tego, co było. – Przerwał na chwilę. – To znaczy z przeszłości, jeśli mnie pojmujecie.

– Te drzwi otwierały się w wielu miejscach i wielu czasach w świecie, z którego pochodzą moi przyjaciele – wyjaśnił Roland. – Pragnę, by znów się otworzyły, ale tylko w dwóch miejscach. Tych, na które otwierały się ostatnio. Czy to możliwe?

Czekali. Henchick i Cantab w milczeniu szukali odpowiedzi na to pytanie. Manni byli wielkimi podróżnikami. Jeśli ktoś wie, jeśli ktoś potrafi zrobić to, czego pragnął Roland... czego pragnęli wszyscy... to tylko oni.

Cantab pochylił się z szacunkiem ku starcowi i wyszeptał coś. Henchick, *dinh* Calla Redpath, wysłuchał go z nieruchomą twarzą, a potem wyciągnął powykrecaną reumatyzmem rękę, odwrócił głowę Cantaba i odpowiedział mu również szeptem.

Eddie poruszył się gwałtownie. Lada chwila straci cierpliwość, zapewne zacznie krzyzczeć. Roland położył mu dłoń na ramieniu i młodzieniec się uspokoił. Na razie.

Manni rozmawiali szeptem przez dobre pięć minut, wystawiając na próbę cierpliwość czekających. Dla Rolanda dobiegające hałasy, wyraźne, choć płynące z dala odgłosy radosnego święta zwycięstwa, były niemal nie do zniesienia. Jeden Bóg wie, jak musiał się czuć Eddie.

Henchick poklepał Cantaba po policzku. Spojrzął na Rolanda.

– Myślmy, że to możliwe – powiedział po prostu.

– Dzięki Bogu – szepnął Eddie, a potem głośniejszym głosem powtórzył: – Dzięki Bogu. No to chodźmy, na co czekamy? Możemy spotkać się na wschodnim trakcie...

Obaj brodaci Manni energicznie pokręcili głowami, Henchick

stanowczo, choć ze smutkiem, Cantab z wyraźnie widocznym przerażeniem.

– Nie pójdziemy do Jaskini Przejścia w ciemności – oznajmił Henchick.

– Musimy! – zaprotestował Eddie. – Nie rozumiecie? Przecież chodzi nie tylko o to, jak długo przetrwa magia albo kiedy zniknie. Najważniejszy jest czas, to, z jaką prędkością biegnie po drugiej stronie! Szybciej niż tutaj... a to, co przemija, przemija. Chryste, Susannah może rodzić w tej właśnie chwili, a jeśli jej dziecko będzie jakimś kanibalem...

– Posłuchaj mnie, mój młody przyjacielu – przerwał mu Henchick – i słuchaj uważnie, bardzo uważnie. Dzień już się chyli ku zachodowi.

Stary miał rację. Nigdy jeszcze Rolandowi dzień nie upłynął tak szybko. Najpierw była walka z Wilkami, stoczona rankiem, niemal o świcie, potem spontaniczne święto, rozpoczęte po prostu na trakcie; radość ze zwycięstwa i żałoba po ofiarach (które okazały się zdumiewająco małe). Potem zorientowali się, że Susannah znikła, poszli więc do jaskini i znaleźli w niej to, co znaleźli. Nim wrócili na pole bitwy, na wschodni trakt, minęło południe. Większość mieszkańców miasteczka udała się do domów w triumfalnym pochodzie, zabierając ze sobą swe cudem ocalone dzieci. Henchick chętnie wyraził zgodę na rozmowę, ale nim wszyscy zebrali się na plebani, słońce przeszło już na drugą stronę nieba.

Przynajmniej tę noc prześpimy aż do brzasku, pomyślał Roland, nie wiedząc, czy powinien odczuwać ulgę, czy rozczarowanie. Jedno było pewne: potrzebował snu.

– Słucham i rozumiem – powiedział Eddie.

Roland trzymał dłoń na jego ramieniu i czuł, jak młody przyjaciel drży na całym ciele.

– Nawet gdybyśmy chcieli iść, nie skłonilibyśmy wystarczająco wielu naszych, by poszli wraz z nami – wyjaśnił Henchick.

– Ty jesteś *dinh*...

– Ano, tak to nazywacie, więc sądzę, że nim jestem, choć nie jest to nasze słowo, pojmujecie? W większości spraw będą mnie

słuchać. Wiedzą, jaki dług zaciągnęli u waszego *ka-tet*, po tym, czego dziś dokonaliście, i będą się starali go spłacić w każdy dostępny im sposób. Ale nie pójda wąską ścieżką do tego nawiedzonego miejsca, nie po zmroku. – Henchick pokręcił głową powoli, z wielkim przekonaniem. – Nie – powtórzył. – Tego nie zrobią. Posłuchaj mnie, młody człowieku. Cantab i ja wrócimy do Redptah Kra-ten przed zapadnięciem nocy. Tam zwołam naszą radę do Tempy, która jest dla nas tym, czym Sala Spotkań dla tych, którzy nie pamiętają. – Zerknął na Callahana. – Przepraszę, Père, jeśli to określenie cię uraża.

Callahan skinął głową, nie odrywając wzroku od książki, którą cały czas obracał w dłoniach. Obłożona była w sztywny plastik, jak większość cennych pierwszych wydań. Na skrzydełku okładki wypisano ołówkiem cenę – \$950. Druga powieść jakiegoś młodego pisarza. Ciekawe, co uczyniło ją tak cenną. Jeśli spotkają kiedyś właściciela książki, mężczyznę nazwiskiem Calvin Tower, z pewnością go o to zapyta. I będzie to pierwsze z długiego szeregu pytań.

– Wy tłumaczmy im, czego chcecie, poprosimy o ochotników. Z sześćdziesięciu ośmiu mężczyzn Redpath Kra-ten zgodzą się pomóc prawie wszyscy, z wyjątkiem pięciu, może sześciu, jak sądzę. Połączymy nasze siły w jedną siłę. Stworzymy *khef*. Tak to nazywacie? *Khef*? Kiedy ludzie dzielą się czymś?

– Tak – potwierdził Roland. – Mówimy o dzieleniu się wodą.

– Nie zmieścicie tylu ludzi w jaskini – zauważył Jake. – Nie ma mowy. Nawet gdyby połowa z nich siedziała na ramionach drugiej połowy.

– Nie ma takiej potrzeby – wyjaśnił Henchick. – W środku znajdują się ci najpotężniejsi, nazywamy ich „wysyłaczami”. Inni mogą ustawić się wzdłuż ścieżki. Ręka w rękę, ołowianka w ołowiankę. Jutro będziemy na miejscu, nim słońce dotknie dachów domów. Stawiam na to zegarek i ostrogi. Potrzebny nam dzisiejszy wieczór, by zgromadzić magnesy i ołowianki. – Patrzył na Eddiego przepraszająco i z więcej niż odrobiną strachu. Ten młody człowiek cierpiał niewyobrażalnie, widać to było na pierwszy rzut oka. A

poza tym był rewolwerowcem. Rewolwerowiec gotów jest atakować w każdej sytuacji, jeśli to konieczne... ale nigdy nie atakuje na oślep.

– Może być za późno – powiedział cicho Eddie. Spojrzał na Rolanda wielkimi, piwnymi oczami, przekrwionymi teraz i podsiniętymi ze zmęczenia. – Jutro może być za późno... jeśli nawet magia przetrwa.

Roland otworzył usta, Eddie podniósł palec.

– Tylko nie mów *ka*, Rolandzie. Jeśli powiesz *ka* choć raz, głowa mi eksploduje, daję słowo.

Roland zamknął usta. Nie powiedział nic.

Eddie spojrzał na dwóch starych mężczyzn, brodatych, ubranych w ciemne stroje kwakrów.

– A wy nie jesteście pewni, że magia przetrwa, prawda? Co da się otworzyć dziś, jutro może już być zamknięte na zawsze. I nie otworzą tego ani magnesy, ani ołowianki gromadzone od dnia stworzenia Mannich.

– Ano – przytaknął Henchick. – Ale twoja kobieta zabrała magiczną kulę, i cokolwiek sobie myślisz, dla Świata Pośredniego i Pogranicza to dobrze, że stąd odeszła.

– Sprzedałbym duszę, żeby ją odzyskać. I ręce – powiedział Eddie donośnym, czystym głosem.

Wszyscy spojrzeli na niego wstrząśnięci, nawet Jake. Roland poczuł nagłą potrzebę przemówienia, skłonienia Eddiego do odwołania tych słów, jakby nigdy nie zostały powiedziane. Potężne siły przeszkadzały im w wędrówce ku Wieży, potężne mroczne siły, a Czarna Trzynastka to ich najpotężniejszy *sigul*. To, czego można użyć, można także nadużyć – odpryski Tęczy miały swój własny złowrogi *glammer*, zwłaszcza Trzynastka. Zapewne była sumą ich wszystkich. Gdyby ją nawet mieli, Roland byłby gotów walczyć, by przeszkodzić Eddiemu Deanowi w położeniu na niej dłoni. W tym stanie ducha, w smutku, który uniemożliwiał mu skupienie się na czymkolwiek, kula albo zniszczyłaby go w kilka minut, albo uczyniła swym niewolnikiem na wieki.

– I kamień by pił, gdyby miał usta – odezwała się Rosa, zaskakując ich wszystkich. – Eddie, odłóżmy na bok sprawy magii.

Pomyśl o ścieżce, która prowadzi tam, na górę. Potem pomyśl o pięciu tuzinach mężczyzn, niektórych starych jak Henchick, w części ślepych jak nietoperze, próbujących wspiąć się po niej w ciemności.

– Ten głaz – dodał Jake. – Pamiętasz ten głaz, koło którego trzeba się prześlizgnąć. Tam jest tak ciasno, że wisisz nogami nad przepaścią.

Eddie skinął głową powoli, niechętnie.

Roland widział, jak walczy ze sobą, próbując zaakceptować to, czego nie potrafił zmienić. Jak walczy o zachowanie zdrowych zmysłów.

– Susannah Dean także jest rewolwerowcem – rzekł. – Może potrafi zadbać sama o siebie, przynajmniej przez jakiś czas.

– Nie sądzę, by Susannah decydowała – odparł natychmiast Eddie – i ty też tak myślisz. To Mia zawładnęła nią i będzie ją kontrolować co najmniej do dnia narodzin dziecka, swojego chłopczyka. Bo on jest jej! Mia będzie rządzić dopóty, dopóki mały nie przyjdzie na świat.

Roland odwołał się nagle do intuicji; pojawiała się wielokrotnie w ciągu lat, które spędził na szlaku, i na ogół go nie zawodziła. Nie zawiodła też w tym wypadku.

– Możliwe, że kiedy odchodziły, to Mia kierowała krokami Susannah. I możliwe też, że nie będzie w stanie kierować nimi po drugiej stronie.

Callahan oderwał się wreszcie od książki, która tak go zafascynowała.

– Dlaczego? – spytał.

– To świat Susannah. Nie Mii. Jeśli nie uda się im działać wspólnie, zapewne wspólnie umrą.

2

Henchick i Cantab wrócili do Redpath Mannich, by opowiedzieć starszym (wyłącznie mężczyznom) o tym, co się dziś zdarzyło, a

następnie o tym, jaka jest cena wdzięczności. Roland poszedł z Rosą do jej domku. Stał na wzgórzu, ponad niegdyś schludną, porządną wygodką, z której pozostało niewiele, w tym szczątki Andy'ego, Robota-Posłańca (I Wiele Innych Funkcji). Rosa powoli rozebrała Rolanda do naga, po czym wyciągnęła się obok niego na łóżku i natarła specjalnymi olejkami – kocim na artretyzm, a gęstszym i lekko pachnącym w miejscach najbardziej wrażliwych. Kochali się. Szczytowali w tej samej chwili (rodzaj przypadku, który głupcy nazywają losem), słuchając huku fajerwerków, wybuchających na głównej ulicy Calla, i radosnych okrzyków *folken*, przeważnie już nie podchmielonych, lecz, sądząc z odgłosów, pijanych w sztok.

– Śpij – powiedziała Rosa. – Jutro już cię nie będzie. Nie będzie cię dla mnie, dla Eisenharta i Overholstera, i dla nikogo w Calla.

– A więc jednak masz talent widzenia? – spytał Roland. Wydawał się rozluźniony, może rozbawiony, ale nawet gdy był w niej głęboko i wdzierał się jeszcze głębiej, nie potrafił przestać myśleć o Susannah, członkini ich *ka-tet*, teraz zagubionej. Nawet gdyby nie chodziło o nic więcej, samo jej zaginięcie wystarczyłoby, żeby pozbawić go zasłużonego odpoczynku.

– Nie. Lecz od czasu do czasu coś czuję, jak wszystkie kobiety. A przede wszystkim czuję, kiedy mój mężczyzna chce ruszyć na szlak.

– Tym dla ciebie jestem? Twoim mężczyzną?

Spojrzała mu w oczy pewnie, choć z odrobiną wstydu.

– Na ten krótki czas, gdy tu byłeś, ano, chciałabym tak sądzić. Czy powiesz, że się myliłam, Rolandzie?

Rewolwerowiec natychmiast pokręcił głową. Dobrze było znów być mężczyzną jakiejś kobiety, choćby na tak krótko.

Rosa widziała, że zareagował szczerze, i jej twarz złagodniała. Pogłaskała go po chudym policzku.

– Dobrze się spotkaliśmy, Rolandzie, prawda? Dobrze spotkaliśmy się w Calla.

– Ano, pani.

Dotknęła tego, co pozostało z jego prawej dłoni, a potem prawego biodra.

- Jak tam z twoimi bólami?
- Są straszne – przyznał. Jej nie musiał okłamywać.
- Skinęła głową i przyjrzała się lewej dłoni, którą Roland zdołał ocalić przed homarokoszmarami.
- A ta?
- W porządku – odparł, ale w niej też odczuwał ból. Czający się. Czekający na swój czas, gotów pojawić się w całej okazałości.
- Rosalita nazywała to suchym atakiem.
- Rolandzie?
- Ano.
- Patrzyła na niego spokojnie, ściskając jego lewą dłoń, poznając wszystkie jej sekrety.
- Skończ swoje sprawy, najszybciej jak potrafisz.
- Taką masz dla mnie radę?
- Tak, serce. Skończ swoje sprawy, nim sprawy skończą z tobą.

3

O północy Eddie siedział na stopniach ganku na tyłach plebanii. Minał dzień, który mieszkańcy na zawsze zapamiętać mieli jako Dzień Zwycięstwa w Bitwie przy wschodnim trakcie. Przeszedł do ich historii, a potem niewątpliwie stanie się mitem, oczywiście jeśli założyć, że świat przetrwa wystarczająco długo, by zdążyło do tego dojść. W miasteczku świętowano, sądząc po dobiegającym hałasie, coraz bardziej entuzjastycznie i gorączkowo, aż wreszcie Eddie zaczął się zastanawiać, czy w ferworze zabawy mieszkańcy nie podpalą swego zbiorowego domu. Czy by go to obeszło? Nic a nic, dziękuję bardzo i proszę o więcej. Podczas gdy Roland, Susannah, Jake, Eddie i trzy kobiety, Siostry Pani Ryżu, stanęli naprzeciw Wilków, reszta *folken* z Calla ukryła się albo w mieście, albo na polach ryżu przy rzece. A jednak za dziesięć lat, a może nawet za pięć, ludzie będą opowiadać sobie, jak to pewnego jesiennego dnia oni wszyscy wzniesli się na wyżyny bohaterstwa, walcząc ramię w ramię u boku prawdziwych rewolwerowców.

To nie było w porządku, jego myśli nie były w porządku, wiedział o tym doskonale, ale jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak bezradny, tak zagubiony i przez to tak cholernie wściekły. Powtarzał sobie, że powinien przestać wspominać Susannah, nie zastanawiać się, gdzie ona jest, nie myśleć o tym, czy dziecko już się urodziło... a mimo to po prostu musiał o niej myśleć. Był pewien, że przeniosła się do Nowego Jorku. Ale do którego niegdyś? Czy tego, w którym ludzie jeżdżą dorożkami konnymi po ulicach oświetlonych gazowymi latarniami, czy może tego, w którym jeżdżą antygravitacyjnymi taksówkami, obsługiwanymi przez roboty wyprodukowane w North Central Positronics?

Czy Susannah żyje?

Odrzuciłby od siebie tę myśl, gdyby mógł, ale umysł ludzki potrafi być taki okrutny! Oczami wyobraźni widział Susannah leżącą w rynsztoku gdzieś w getcie, ze swastyką na czole i zawieszonym na szyi kawałkiem kartonu z nabazgranymi słowami: POZDROWIENIA OD PRZYJACIOŁ Z OXFORDU.

Za plecami usłyszał zgrzyt otwierających się kuchennych drzwi, a potem cichy tupot bosych stóp (jego zmysły były już znakomicie wyczulone, stanowiły przecież oręż zabójcy) oraz stuk pazurów. Jake i Ej.

Chłopiec usiadł obok niego, w bujanym fotelu Callahana. Był ubrany i uzbrojony; w uchwycie dokera tkwił ruger, którego ukradł ojcu w dniu ucieczki z domu. Dziś jego ruger utoczył... nie, nie krwi. Oleju? Eddie uśmiechnął się lekko, ale w tym uśmiechu nie było ani odrobiny wesołości.

– Nie możesz zasnąć, Jake?

– Ej – przytaknął Ej i położył się ciężko przy nogach chłopca, składając pysk między łapami.

– Nie. Ciągłe myślę o Susannah. – Przerwał na chwilę, po czym dodał: – I o Bennym.

Eddie uznał to za naturalne. Jake widział, jak jego przyjaciel ginie krwawą śmiercią; nic dziwnego, że nie mógł przestać o nim myśleć. Mimo to poczuł nagle ostre ukłucie zazdrości, jakby wszystkie swe myśli chłopiec miał obowiązek poświęcić wyłącznie

jego ukochanej żonie.

– Mały Tavery – mówił dalej Jake. – To przez niego. Spanikował. Pobiegł. Złamał nogę w kostce. Gdyby nie on, Benny przeżyłby walkę. – A potem bardzo cicho... Tavery, o którym rozmawiali, przeraziłby się śmiertelnie, słysząc ten głos, w to nie sposób było wątpić... dokończył przemowę: – Pieprzony Frank Tavery.

Eddie wyciągnął rękę i choć nie chciał pocieszać Jake'a, położył dłoń na jego głowie. Chłopiec miał o wiele za długie włosy. Za długie i niezbyt czyste. Powinien odwiedzić fryzjera. Nie, cholera, tak naprawdę potrzebował matki, która dopilnowałaby, żeby dzieciak właściwie się o siebie troszczył. Ale Jake nie miał już matki. I... jakie to dziwne... pocieszając go, Eddie poczuł się lepiej. Może nie dużo, ale z pewnością trochę lepiej.

– Zapomnij – powiedział cicho. – Co się stało, to się nie odstanie.

– *Ka* – rzucił gorzko Jake.

– *Ki-ka* – warknął Ej, nie podnosząc głowy.

– Amen. – Jake roześmiał się nagle gorzkim, niepokojąco chłodnym śmiechem. Z zaimprovizowanej kabury wyjął rugera, przyjrzał mu się uważnie. – On przejdzie, ponieważ pochodzi z drugiej strony. W każdym razie tak twierdzi Roland. Inne też mogą, ponieważ nie przechodzimy sami, tak po prostu. Jeśli nie, Henchick obiecał schować je w jaskini. Może po nie wrócimy?

– Jeśli trafimy do Nowego Jorku, nie będziemy musieli długo szukać broni – zauważył Eddie. – Sama nas znajdzie.

– Lecz nie broń Rolanda. Strasznie bym chciał, żeby przeszła z nami. W żadnym świecie nie ma rewolwerów takich jak te. Już nie. Tego jestem pewien.

Eddie też był tego pewien, ale nie facytował się potwierdzeniem. W miasteczku znów huknęły fajerwerki, po czym zapadła cisza. Widać zabawa się kończyła, na szczęście. Jutro z pewnością rozpocznie się od nowa na głównym placu, tyle że nieco mniej szalona i nieco mniej pijana. Wszyscy oczekują, że Roland ze swym *ka-tet* będą na niej gośćmi honorowymi, lecz jeśli bogowie stworzenia są dobrzy, jeśli drzwi się otworzą, goście honorowi odejdą. Będą szukać Susannah. Nie, o nie! Znajdą ją. Do diabła z

szukaniem! Znajdą!

Jakby czytając w jego myślach (a on to potrafił, miał bardzo silny dotyk), Jake powiedział:

- Susannah żyje.
- Tego nie możesz wiedzieć.
- Wszyscy poczulibyśmy, gdyby odeszła.
- Jake, potrafisz jej dotknąć?!
- Nie, ale...

Nim zdołał skończyć zdanie, gdzieś w głębi ziemi rozległ się niski hurgot. Ganek wzniósł się nagle, po czym opadł jak łódź na dużej fali. Słyszeli trzaski i odgłosy wyginanych, trących o siebie desek. Z półek w kuchni posypały się talerze i kubki, pękając z brzękiem szczękających zębów. Ej podniósł łeb, zapiszczał; uszy położył po sobie, a jego delikatny lisi pyszczek wyrażał komiczne wręcz zdumienie. W gabinecie Callahana coś spadło i rozbiło się z donośnym hukiem.

Eddie, całkowicie nielogicznie, lecz z niezwykłą pewnością pomyślał, że Jake właśnie zabił Susannah, mówiąc, że żyje.

Wstrząsy narastały jeszcze przez chwilę. Okienna framuga wygięła się, pękła szyba. Z ciemności dobiegł ich kolejny odgłos; Eddie uznał, jak się potem okazało słusznie, że to uszkodzona wygodka wreszcie rozpadła się w drzazgi. Poderwał się na równe nogi, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jake stał obok niego, mocno ściskając mu nadgarstek. Eddie zdążył nawet wyciągnąć z kabury rewolwer Rolanda. Obaj stali nieruchomo, jakby lada chwila mieli zacząć strzelać.

Ziemia jęknęła jeszcze raz i ganek osiadł, prosto i równo. W pewnych kluczowych miejscach, leżących wzdłuż ścieżki Promienia, ludzie budzili się i rozglądali dookoła, oszołomieni. Na ulicach Nowego Jorku z tego niegdyś odezwało się kilka alarmów samochodowych. Następnego dnia gazety donosiły o niewielkim trzęsieniu ziemi: wybite szyby, żadnych ofiar śmiertelnych. Po prostu niewielkie drżenie skądinąd przyzwoitej, solidnej skały.

Jake patrzył na Eddiego szeroko otwartymi oczami. Wiedział.

Otworzyły się drzwi i na ganku pojawił się Père. Miał na sobie

długie, sięgające kolan gacie, i tylko tyle, jeśli nie liczyć wiszącego na szyi złotego krucyfiks.

– To było trzęsienie ziemi, prawda? – spytał. – Przeżyłem kiedyś jedno takie w północnej Kalifornii. Ale w Calla już nie.

– To było coś cholernie wielkiego, znacznie większego niż zwykle trzęsienie ziemi – odrzekł Eddie, wyciągając rękę.

Kryty ganek wychodził na wschód, a horyzont na wschodzie oświetlony był bezgłośnymi wybuchami zielonych błyskawic. Drzwi stojącego niżej na zboczu domu Rosality otworzyły się ze zgrzytem zawiasów i zamknęły z trzaskiem. Rosalita i Roland szli do nich, ramię w ramię, ona w koszuli nocnej, on tylko w dżinsach. Szli boso po pokrytej rosą trawie.

Eddie, Jake i Callahan wyszli im na spotkanie. Roland wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w niknące na wschodzie błyski zielonego światła. Niknące na wschodzie, gdzie czekała na nich kraina Jądra Gromu, Dwór Karmazynowego Króla, a wreszcie kraniec Końca Świata i sama Mroczna Wieża.

Jeśli Mroczna Wieża jeszcze stoi, pomyślał Eddie.

– Jake tłumaczył mi właśnie, że gdyby Susannah zginęła, tobyśmy o tym wiedzieli – powiedział głośno. – Poczulibyśmy coś, co ty określasz nazwą *sigul*. A potem zdarzyło się to. – Wskazał gestem trawnik przed plebanią, na którym pojawiła się dziesięciostopowa, biegnąca prosto szczelina, przypominająca wydęte, brązowe od ziemi wargi. W miasteczku rozszczerkały się psy, ale *folken* zachowywali się bardzo cicho, przynajmniej na razie. Być może większość z nich spokojnie przespała ten kataklizm. Spała spokojnym snem pijanych do nieprzytomności zwycięzców. – Ale to nie miało nic wspólnego z Suze, prawda?

– Nie. Nie bezpośrednio.

– Nie był nasz – odezwał się nagle Jake. – Gdyby był, zniszczenia byłyby znacznie większe, nie sądzisz, Rolandzie?

Roland skinął głową.

Rosa spojrzała na chłopca zaskoczona i chyba nieco przestraszona.

– Co nie było nasze, chłopcze? O czym ty mówisz? Bo z pewnością nie mieliśmy do czynienia z trzęsieniem ziemi.

– Nie – powiedział Roland. – Nie ziemi, lecz Promienia. Właśnie zerwał się jeden z Promieni podtrzymujących Wieżę. Podtrzymujących wszystko. Po prostu pękł.

Nawet w słabym, drżącym świetle czterech płonących na ganku pochodni widać było, jak zbladła twarz Rosy Munoz. Eddie dostrzegł też, że się przeżegnała.

– Promień? Jeden z Promieni? Nie! Powiedzcie mi, że to nieprawda.

Eddie przypomniał sobie nagle pewien dawny baseballowy skandal i małego chłopca błagającego: *Nie. Powiedz, że to nie tak, Joe.*

– Nie mogę tego uczynić. Bo to prawda – odparł cicho Roland.

– Ile jest tych Promieni? – zainteresował się Callahan.

Roland spojrział na Jake'a i niemal niedostrzegalnie skinął głową. *Powiedz, czego się nauczyłeś, Jake'u z Nowego Jorku. Mów i mów prawdziwie.*

– Jest sześć Promieni, łączących dwanaście portali – rozpoczął chłopiec. – Te dwanaście portali to dwanaście krańców ziemi. Roland, Eddie i Susannah tak naprawdę zaczęły wędrówkę przy Portalu Niedźwiedzia. Ja dołączyłem do nich między tym portalem a miastem Lud.

– Shardik – przerwał mu Eddie. Patrzył na ostatnie połyskujące na wschodzie błyskawice. – Tak się nazywał ten niedźwiedź.

– A tak, Shardik – przytaknął Jake. – Idziemy wzdłuż Promienia Niedźwiedzia. Wszystkie Promienie zbiegają się w Mrocznej Wieży. Po jej drugiej stronie nasz Promień to... – wzrokiem poszukał pomocy Rolanda, Roland zaś spojrział na Eddiego Deana. Wyglądało na to, że nie miał zamiaru zrezygnować z uczenia ich Drogi Elda.

Eddie albo nie dostrzegł jego spojrzenia, albo je zignorował, Roland jednak był nieustępliwy.

– Eddie?

– Jesteśmy na ścieżce Niedźwiedzia, drodze Żółwia – powiedział Eddie obojętnie. – Nie mam pojęcia, jakie może to mieć znaczenie, skoro idziemy tylko do Mrocznej Wieży, ale po drugiej stronie jest to ścieżka Żółwia, droga Niedźwiedzia. – I wyrecytował:

*Spójrzcie na żółwia o ogromnej skorupie!
Co na swych plecach całą Ziemię niesie.
Choć myśli wolno, lecz zawsze rozważnie
I każdego z nas swym umysłem sięgnie*

Rosalita uśmiechnęła się.

*I zna prawdę, lecz pomoc nie jest w stanie,
W nim obowiązek i miłość złożone,
Kocha ziemię, kocha morze,
Kocha też ciebie, niebożę.*

– Nie całkiem tego nauczyłem się w kołysce, a potem uczyłem przyjaciół, ale blisko, bardzo blisko. Stawiam na to zegarek i ostrogi.

– Wielki Żółw nazywa się Maturin. – Jake wzruszył ramionami.

– Jeśli ma to jakieś znaczenie.

– Nie potrafisz powiedzieć, który Promień pękł? – Callahan bacznie przyglądał się Rolandowi.

Rewolwerowiec pokręcił głową.

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że Jake ma rację. Nie nasz. Gdyby to był nasz, nie ocalałoby nic w odległości stu mil od Calla Bryn Sturgis. – A może nawet tysiąca mil, któż to wie? – Ptaki spadałyby z nieba w płomieniach.

– Mówisz o Armagedonie? – Callahan wypowiedział te słowa cichym, pełnym niepokoju głosem.

Roland znów pokręcił głową, ale nie dlatego, że się z nim nie zgadzał.

– Nie znam tego słowa, Père, ale mówię o zagładzie i niewyobrażalnych zniszczeniach, oczywiście. Gdzieś, może wzdłuż Promienia łączącego Rybę ze Szczurem, zdarzyło się właśnie to.

– Jesteś całkiem pewien tego, co mówisz? – spytała szeptem Rosa.

Rewolwerowiec przytaknął. Przecież przeżył już raz coś takiego, gdy padło Gilead, a wraz z nim skończyła się cywilizacja, jaką znał. Pozostało mu wtedy tylko ruszyć na szlak z przyjaciółmi:

Cuthbertem, Alainem i Jamiem oraz kilku innymi z ich *ka-tet*. Wówczas też pękł jeden z Promieni, niemal na pewno nie pierwszy.

– Ile z nich podtrzymuje jeszcze Wieżę? – zaciekawił się Callahan.

Po raz pierwszy tego wieczoru Eddie wykazał zainteresowanie czymś więcej niż wyłącznie losem zaginionej żony. Patrzył na Rolanda niemal uważnie. A dlaczegoż by nie? W końcu było to najważniejsze pytanie. Mówiło się przecież, że *wszystko służy Promieniom* i choć w rzeczywistości wszystko służyło Wieży, to przecież podtrzymywały ją właśnie Promienie. Jeśli pękną...

– Dwa – odparł Roland. – Powiedziałbym, że muszą być przynajmniej dwa. Ten biegnący przez Calla Bryn Sturgis i jeszcze jeden. Ale Bóg wie, ile wytrzymają. Gdyby nawet nie było Łamaczy. Musimy się śpieszyć.

Eddie zeszczywniał.

– Jeśli sugerujesz, żebyśmy ruszyli bez Suze...

Rewolwerowiec niecierpliwie pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć Eddiemu, że robi z siebie głupca.

– Bez niej nie dotrzemy do Wieży. Z tego, co wiem, nie dotrzemy do Wieży bez chłopczyka Mii. Wszystko w rękach *ka*, a w moim kraju mówiono: „*ka* nie ma ani głowy, ani serca”.

– Z tym mogę się zgodzić – westchnął Eddie.

– Być może mamy kolejny problem – powiedział Jake z wyraźnym wahaniem.

Eddie spojrzał na niego spod zmarszczonych brwi.

– Nie potrzebujemy jeszcze jednego problemu.

– Wiem, ale... – chłopiec zawahał się – ...ale co będzie, jeśli trzęsienie ziemi zamknie wejście do jaskini? Albo... – Jake zamilkł, jakby bał się mówić o tym, co naprawdę leży mu na sercu. – Albo całkiem je zawałiło?

Eddie błyskawicznie wyciągnął rękę, złapał go za koszulę na piersi i zacisnął pięść.

– Milcz! Nie waż się słowem o tym wspomnieć.

W tym momencie dobiegły ich ludzkie głosy. *Folken* Calla gromadzą się na miejskim placu, wpadło do głowy Rolandowi. I

pomyślał jeszcze, że ten dzień... i ta noc... przetrwają w zbiorowej pamięci Calla Bryn Sturgis tysiąc lat. Oczywiście pod warunkiem, że przetrwa Wieża.

Eddie puścił koszulę Jake'a. Wygładził ją, jakby chciał rozprostować zmarszczki. Próbował się nawet uśmiechnąć, lecz z tym uśmiechem wydał się nagle słaby i stary.

Roland spojrzął na Callahana.

– Czy Manni pojawią się jutro... mimo wszystko? – spytał. – Znasz tych ludzi lepiej ode mnie.

Callahan wzruszył ramionami.

– Henchick wie, jak dotrzymać słowa. Czy potrafi skłonić innych, po tym, co się dziś stało... tego, Rolandzie, nie potrafię powiedzieć.

– Lepiej, żeby mu się udało – mruknął groźnie Eddie. – Zwłaszcza dla niego.

– Kto zagra w strzeż mnie? – spytał Roland z Gilead.

Eddie spojrzął na niego z niedowierzaniem.

– Przecież będziemy tak siedzieli aż do świtu – stwierdził bardzo rozsądnie rewolwerowiec. – Mamy się nudzić?

Więc zagrali. Rosalita wygrywała raz za razem. Zapisywała wyniki na płytce, niczym nie zdradzając radości zwycięstwa; wyrazu jej twarzy Jake nie był w stanie rozszyfrować. Przynajmniej nie od razu. Przez chwilę miał ochotę użyć dotyku, ale uznał, że posługiwanie się tym talentem usprawiedliwiają tylko wyjątkowe okoliczności, więc teraz byłoby to złym czynem. Sięgnięcie pod maskę pokerowej twarzy Rosy za bardzo przypominałoby obserwowanie jej, kiedy się rozbiera. Albo kiedy kocha się z Rolandem.

Grali dalej, aż wreszcie na północno-wschodnim horyzoncie pojawiły się pierwsze promienie świtu. W pewnym momencie Jake uznał, że wie, o czym myśli Rosalita, ponieważ on myślał o tym samym. Wszyscy, ale to wszyscy, mniej lub bardziej świadomie będą myśleli o pozostałych dwóch Promieniach, od dziś aż do samego końca.

Będą czekać, aż któryś z nich pęknie. Ich *ka-tet* będzie czekać,

tropiąc Susannah, będzie czekać Rosa gotująca obiad, nawet Ben Slightman oplakujący swego syna na ranchu Eisenharta. Będą myśleć o tej jednej, najważniejszej rzeczy: zostały tylko dwa! Dwa przeciw niszczącym, osłabiającym, mordującym je Łamaczom.

Ile jeszcze czasu upłynie, nim wszystko się skończy? I jak się skończy? Czy usłyszą ogłuszający huk padających na ziemię potężnych szarych głazów? Czy niebo rozedrze się jak kartka papieru, czy spadną z niego potworności żyjące w chaosie mroku? Czy będą mieli czas krzyknąć? Czy po śmierci czeka ich jakieś życie, czy też upadek Mrocznej Wieży zniszczy nawet samo niebo i piekło?

Spojrzał na Rolanda i wysłał mu myśl, najmocniej jak potrafił: *Rolandzie, pomóż nam!*

Otrzymał odpowiedź; wypełniła mu umysł chłodną pociechą, ale przecież nawet chłodna pociecha jest lepsza niż żadna. *Jeśli potrafię.*

– Strzeż mnie! – powiedziała Rosalita i wyłożyła karty. Zdobyła Różdżkę, najwyższą stawkę, a kartą na wierzchu była *madame Śmierć*.

PIEŚŃ:

*Chodź, tańcz, sadź swą dłoń,
Jest tu młody człowiek z bronią.
Stracił swoją słodką panią,
W drogę się wybiera za nią.*

OPOWIEDŹ:

*Chodź i tańcz. I sadź z nią,
Chłopiec goni za swą panią.
Pozostawi ją w stanie odmiennym,
Gdy dzieciak będzie wreszcie poczęty.*